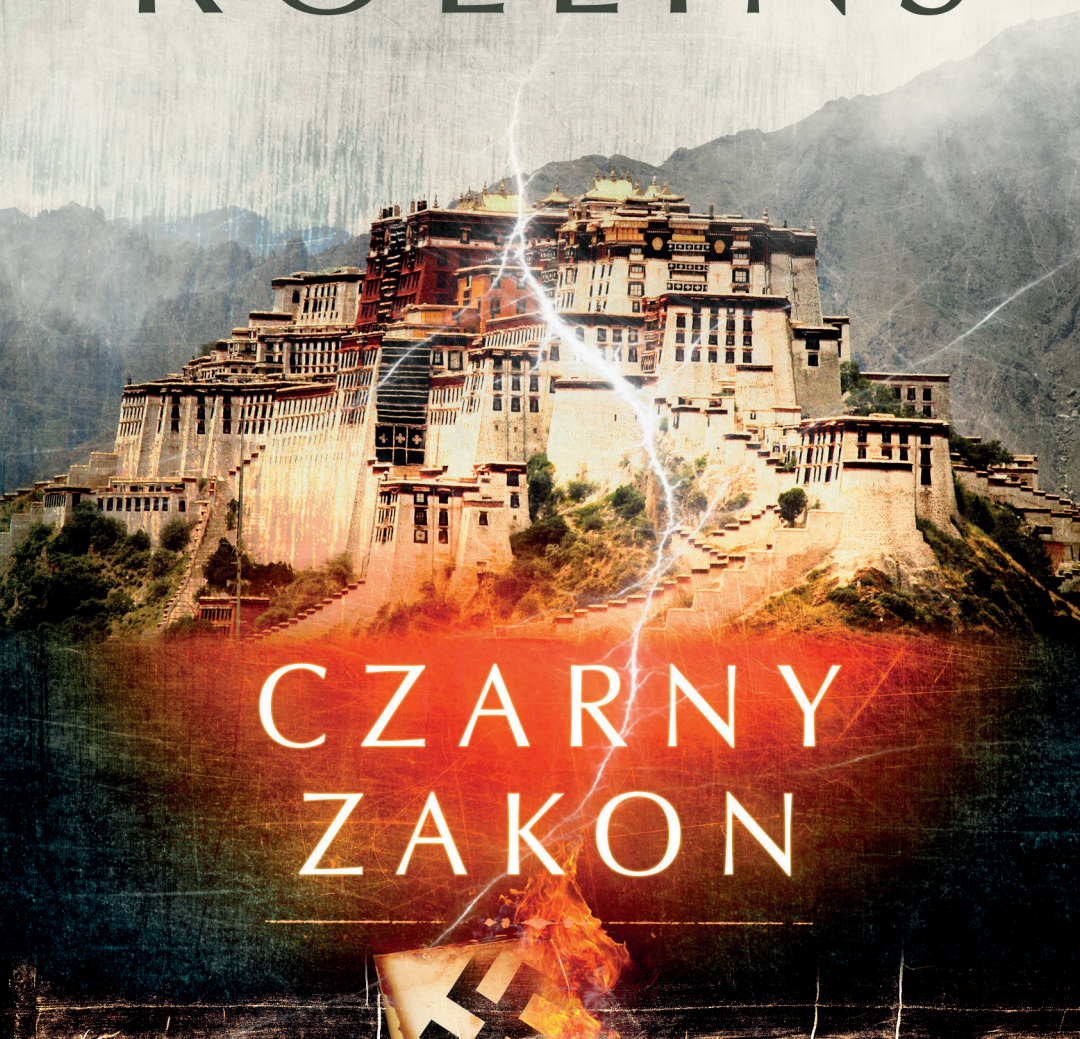


Trzecia część cyklu SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



CZARNY ZAKON

1945

Festung Breslau

4 maja, godzina 6.22 czasu miejscowego

Zwłoki płynęły podziemnym kanałem ściekowym w strumieniu nieczystości. Ciało chłopca było rozdęte, nadgryzione przez szczury i pozbawione butów, spodni i koszuli. W oblężonym mieście nic nie mogło się zmarnować.

Obergruppenführer SS Jakob Sporrenberg ominął trupa i brnął dalej w śmierdzącej mazi pełnej odpadków i fekaliiów, krwi i wydzielin. Wilgotny kawałek materiału, którym zakrył sobie nos i usta niewiele pomagał w walce ze smrodem. Oto, czym się kończy wielka wojna. Władcy Europy, którzy jak szczury uciekają śmierdzącymi kanałami. Ale jak rozkaz, to rozkaz.

W górze trwała kanonada rosyjskiej artylerii, która ostrzeliwała miasto. Każdy kolejny wybuch Jakob odczuwał jak cios wymierzony jemu osobiście. Rosjanie wdarli się już na teren miasta, zbombardowali lotnisko, ich czołgi chrzęściły na ulicznym bruku, a transportery opancerzone dotarły już do Kaiserstrasse. Śródmiejską arterię zamieniono w lądowisko dla samolotów, znakując je po bokach rzędami beczek z płonąca ropą. Wydobywający się z nich czarny dym mieszał się z dymami pożarów i jeszcze bardziej zasnuwał poranne niebo, nie pozwalając przebić się promieniom wstającego słońca. Walczono o każdą ulicę i każdy dom od piwnic aż po dach.

Każdy dom jest twierdzą.

Tak brzmiał ostatni rozkaz wydany ludności cywilnej przez gauleitera Hankego. Miasto miało się bronić do końca. Od tego zależała przyszłość Trzeciej Rzeszy.

Od tego i od powodzenia misji Jakoba Sporrenberga.

– *Mach schnell* – upomniął idących za nim ludzi.

Jego oddział *Sicherheitsdienst*, zwany komandem ewakuacyjnym, liczył czternastu ludzi, którzy szli za nim po kolana w śmierzdzącej brei. Wszyscy byli ubrani na czarno, w rękach mieli broń, a na plecach ciężkie plecaki. Środek grupy tworzyli czterej najroślejsi – byli dokerzy z portów Morza Północnego – niosący kilka skrzyń na drągach trzymanyh na ramionach.

Rosjanie nie bez powodu z taką zajądlnością atakowali to nieznanające się na głównej linii natarcia miasto, leżące u podnóża Sudetów na pograniczu Niemiec i Polski. Festung Breslau stanowiła bramę do ciągnących się dalej terenów górskich, gdzie więźniowie dowożeni z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen przez ostatnie dwa lata drążyli tunele i pieczary w zboczu jednej z gór. Posługując się ładunkami wybuchowymi i kilofami, wydrążyli blisko sto kilometrów tuneli w jednym tylko celu: by uchronić przed docieklivością aliantów pewien ściśle tajny projekt:

Der Riese... Olbrzym.

Mimo wszystko wieści o prowadzonych pracach trafiły do wielu niepowołanych uszu. Być może ktoś mieszkający w pobliżu kopalni zaczął rozpowiadać o tajemniczych chorobach i nagłych zgonach nękających miejscową ludność.

Gdyby tylko mieli więcej czasu na dokończenie badań...

Jakob Sporrenberg aż się wzdrygnął. Wprawdzie poza nazwą ściśle tajnego projektu – Chronos – nie znał zbyt wielu szczegółów, wiedział wystarczająco dużo. Widział zwłoki ludzi używanych do doświadczeń i słyszał ich krzyki...

Przerażające.

To jedyne określenie, jakie przychodziło mu do głowy i mroziło krew w żyłach.

Przeprowadzenie egzekucji grupy naukowców nie sprawiło mu żadnych trudności. Sześćdziesięcioro dwoje kobiet i mężczyzn wyprowadzono na zewnątrz i zabito dwoma strzałami w tył głowy.

Nikt nie mógł się dowiedzieć, co naprawdę działo się w czeluściach kopalni Wenceslas, ani co się w niej znajdowało. Darowano życie tylko jednej osobie z personelu naukowego.

Doktor Toli Hirszfeld.

Jakob słyszał za plecami, jak z wysiłkiem wlecze się z rękami związanymi na plecach, niemal ciągnięta przez jednego z jego ludzi. Wysoka, niespełna trzydziestoletnia, obdarzona przez naturę niedużymi piersiami, rozłożystymi biodrami i zgrabnymi nogami, miała długie czarne włosy i mlecznobiałą cerę, która od wielu miesięcy była pozbawiona światła słonecznego. Zginęłaby wraz z pozostałymi gdyby nie to, że jej ojciec, Hugo Hirszfeld, kierownik naukowy projektu *Oberarbeitsleiter*, ostatecznie ujawnił swą zdradziecką naturę półkrwi Żyda i podjął próbę zniszczenia dokumentacji prowadzonych badań. Na szczęście jednemu ze strażników udało się temu zapobiec i zastrzelić go, nim zdążył zdetonować ładunek wybuchowy w swym podziemnym gabinecie. To, że musiał pozostać przy życiu ktoś mający pełną wiedzę o programie *Die Glocke* po to, by móc w przyszłości kontynuować pracę, uratowało życie jego córce. Będąc jak ojciec wybitnym naukowcem, Tola Hirszfeld znała szczegóły programu lepiej niż ktokolwiek z pozostałych pracowników naukowych.

Ale z góry było wiadomo, że łatwo nie pójdzie.

Oglądając się za siebie, Jakob widział w jej oczach jarzący się gniew i czuł emanującą z niej nienawiść, ale wiedział, że w końcu, wzorem ojca, podejmie z nimi współpracę. Jakob umiał sobie radzić z *Juden*, a już szczególnie z mieszancami. *Mischlinge*. Ci byli najgorsi... Niemcy z domieszką krwi żydowskiej. W siłach zbrojnych Trzeciej Rzeszy służyło około stu tysięcy *Mischlinge*, Żydów w niemieckich mundurach. Stosowanie wyjątków w egzekwowaniu nazistowskich przepisów rasowych pozwalało takim mieszancam służyć Trzeciej Rzeszy i w ten sposób uchodzić z życiem. Każdorazowo wymagało to indywidualnej zgody i zwykle tacy *Mischlinge* okazywali się najgorliwszymi wykonawcami rozkazów. Musieli codziennie udowadniać, że lojalność wobec Rzeszy jest dla nich ważniejsza od rasy.

Ale Jakob i tak nigdy im do końca nie ufał, a postępek ojca Toli

dowodził, że jego podejrzliwość była uzasadniona. Próba sabotażu podjęta przez doktora go nie zaskoczyła. *Juden* zasługują tylko na eksterminację, nie na zaufanie.

Tyle że w papierach Hugo Hirszfelda widniał podpis samego Führera, który osobiście wyraził zgodę nie tylko na zatrudnienie ojca i córki, ale także na oszczędzenie wiekowych rodziców doktora, którzy mieszkali gdzieś w środkowych Niemczech. I o ile Jakob nie miał za grosz zaufania do *Mischlinge*, o tyle niezłomnie wierzył, że Führer zawsze podejmuje słuszne decyzje. Rozkaz nie pozostawiał cienia wątpliwości: wywieźć z kopalni wszystko, co pozwoli kontynuować pracę, resztę zniszczyć.

A to wymagało pozostawienia tej kobiety przy życiu.

Jej i tego niemowlaka.

Miesięczne niemowlę płci męskiej, rasy żydowskiej, opatulono i włożono do plecaka. Wcześniej podano mu lekki środek uspokajający, by nie zdradziło ich kwileniem.

Ten bękart sprawiał, że Jakob był sfrustrowany i czuł odrazę do całej sytuacji. Bo oto najszczytniejsze plany i nadzieje Trzeciej Rzeszy znalazły się nagle w maleńkich rączkach żydowskiego noworodka. Na samą myśl o tym dławiała go wściekłość i chętnie nadziałby szczeniaka na bagniet. Ale rozkaz to rozkaz.

Widział też spojrzenia Toli, jakimi obrzucała niemowlę. W jej oczach była zawziętość, ale i żal. Do jej obowiązków należała nie tylko praca naukowa pod kierunkiem ojca, ale także pełnienie roli zastępczej matki malca – usypianie go i karmienie. To dziecko było właściwie jedynym powodem, dla którego zgodziła się współpracować. Zagrożenie jego życia ostatecznie przechyliło szalę i skłoniło Tolę do ustępstw wobec żądań Jakoba.

Pocisk z moździerza rozerwał się tak blisko nad ich głowami, że wszyscy przyklekli, czując nieznośne dzwonięcie w uszach. Betonowe sklepienie zatrzeszczało i na ich głowy posypał się cementowy pył.

Jakob zaklął pod nosem i podniósł się pierwszy.

Podszedł jego zastępca Oskar Henricks i pokazał odchodzącą w bok odnogę kanału.

– Pójdziemy tamtędy, *Herr Obergruppenführer*. To stary

burzowiec. Z planu miasta wynika, że główny kanał burzowy dochodzi do rzeki w pobliżu Wyspy Katedralnej.

Jakob skinął głową. W pobliżu wyspy powinny na nich czekać dwie zamaskowane kanonierki z załogą złożoną z członków ich komanda. Są już blisko.

Ruszył ze zdwojoną energią, wsłuchując się w przybierające na sile rosyjskie bombardowanie nad głowami. Wzmozona kanonada świadczyła zapewne o tym, że wróg szykuje się do ostatecznego szturm. Jakob nie miał wątpliwości, że losy miasta są przesądzone.

Dotarł do odnogi i wspiał się na betonowy próg, którym zaczynał się kanał burzowy. Buty nasiąknięte obrzydliwą mazią z kanału ściekowego zaskrzypiały na suchym betonowym dnie burzowca, a rozsiewany przez nie dławiący smród fekaliiów zdawał się jeszcze intensywniejszy. Kanał ściekowy nie pozwalał o sobie zapomnieć.

Reszta oddziału ruszyła za nim.

Jakob oświecił latarką ciągnący się przed nimi burzowiec. Wydało mu się, że wyczuwa świeższy powiew, i to dodało mu sił. Do końca przeprawy, a tym samym do wypełnienia powierzonych mu misji, było już bardzo blisko. Nim Rosjanie dotrą do pełnego szczurów podziemnego labiryntu kopalni Wenceslas, jego oddział będzie już na drugim krańcu Śląska, a w kopalni powita ich jeszcze parę zastawionych przez niego min pułapek. Na Ruskich i ich sprzymierzeńców nie czekało w tamtych górach nic poza śmiercią.

Pokrzepiony tą myślą, szybko posuwał się w stronę coraz wyraźniej odczuwalnego prądu świeżego powietrza. Dno kanału lekko opadało i cała grupa przyspieszyła kroku. Dodatkowo mobilizowała ich cisza, jaka nagle zapadła na górze. Znaczyło to zapewne, że Rosjanie przystąpili do szturm.

Zostało im bardzo mało czasu. Już niedługo rzeką nie da się uciec.

Jakby wyczuwając ogarniające wszystkich napięcie, niemowlę zaczęło cicho płakać. Widocznie środek uspokajający przestał działać. Zresztą Jakob uprzedził sanitariusza, że ilość środka ma być bardzo mała. Bał się, że większa dawka mogłaby dziecku zaszkodzić. Może jednak się przeliczył...

Płacz niemowlaka przybierał na sile.

Gdzieś dalej, na północy, usłyszeli wybuch pojedynczego pocisku moździerzowego.

Płacz zaczynał przechodzić w krzyk, który zwielokrotnionym echem odbijał się od kamiennych ścian tunelu.

– Uciszcie tego bachora! – rzucił Jakob do żołnierza niosącego niemowlaka.

Chudy jak tyczka żołnierz o ziemistej cerze zsunął z ramion plecak, przy okazji strącając też z głowy czapkę. Zaczął rozsznurowywać plecak, co jeszcze bardziej wzmogło dochodzący z niego wrzask.

– Dajcie... dajcie go mnie! – wykrzyknęła Tola, próbując wyszarpnąć łokieć z uścisku pilnującego ją żołnierza. – On mnie potrzebuje.

Żołnierz mocujący się z plecakiem spojrzał pytająco na Jakoba. W świetle nad ich głowami panowała głucha cisza i tylko ten kanał rozbrzmiewał wrzaskiem.

Jakob skrzywił się i kiwnął głową.

Przecięto więzy krępujące nadgarstki Toli. Rozmasowała je sobie, by przywrócić krążenie, i sięgnęła po dziecko. Żołnierz skwapliwie pozbył się ciężaru, a ona ułożyła dziecko na zagiętej ręce i podtrzymując mu główkę, zaczęła je łagodnie kołysać. Tuląc dziecko, czule do niego przemawiała.

Płacz dziecka zaczął powoli cichnąć i przechodzić w kwilenie.

Jakob z zadowoleniem kiwnął głową i dał znak pilnującemu Tolę żołnierzowi. Ten uniósł rękę i przycisnął lufę lugera do pleców kobiety. Zapadła cisza i oddział wznowił wędrówkę podziemnym kanałem burzowym pod miastem Breslau.

Wkrótce smród ścieków zastąpiła gryząca woń dymu. Latarka Jakoba oświetlała coraz gęściejsze kłęby dymu wciskające się do kanału przez jego ujście do rzeki. Ostrzał artyleryjski zupełnie ustał, natomiast coraz wyraźniejsza stawała się zbliżająca się od wschodu kanonada z ręcznej broni maszynowej. Coraz głośniejszy był też chłupot wody.

Jakob kazał ludziom zatrzymać się i ręką przywołał do siebie radiooperatora.

– Daj sygnał łodziom – rozkazał.

Żołnierz służbiście kiwnął głową i rozplynął się w mroku. Chwilę później kilkakrotnie błysnął lampą w stronę pobliskiej wyspy, przekazując umówiony sygnał. Na opuszczenie kryjówki i dopłynięcie do wylotu kanału kanonierki potrzebowały nie więcej niż minutę.

Jakob popatrzył na Tolę, która nie przestawała tulić dziecka. Niemowlę ucichło, zamknęło oczy.

Tola odwzajemniła harde spojrzenie Jakoba.

– Dobrze wiesz, że mój ojciec miał rację – powiedziała spokojnym, pewnym siebie tonem. Jej wzrok na moment powędrował do opieczętowanych skrzyń. – Widzę to po twojej minie. Posunęliśmy się w naszych badaniach... za daleko.

– O tym nie decyduje żadne z nas – odwarknął.

– A kto?

Jakob wzruszył ramionami i odwrócił głowę. Rozkaz, jaki otrzymał, pochodził od samego Heinricha Himmlera i zastanawianie się nad jego sensem mijało się z celem. Przez skórę czuł, że kobieta nie spuszcza z niego wzroku.

– To jak wyrzeczenie się Boga i natury – powiedziała cicho.

Dochodzące z końca kanału wołanie zwolniło go od odpowiedzi.

– Łodzie już tu płyną! – powtórzył radiooperator, podchodząc bliżej.

Jakob wydał rozkazy i poderwawszy oddział, ruszył w stronę wylotu kanału kończącego się na stromym brzegu Odry. Wprawdzie zbawcze ciemności już się rozpraszały i na wschodzie widać było wstające słońce, ale mieli szczęście, bo rzekę pokrywały kłęby czarnego dymu, które gęstniejąc przy powierzchni wody, tworzyły otulający ich całun.

Tylko jak długo będzie ich jeszcze osłaniał?

Salwy z broni ręcznej nie ustawały – zupełnie jakby ktoś strzelał na wiwat, ciesząc się ze zniszczenia Breslau.

Wydobyszy się z kanałowego smrodu, Jakob odjął od twarzy wilgotną szmatkę i tocząc wzrokiem po ołowianoszarych wodach rzeki, pełną piersią zaczerpnął świeżego powietrza. Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył prujące w ich stronę dwie sześciometrowe

kanonierki i usłyszał równy warkot ich silników. Na dziobach widać było po dwa lekko tylko zamaskowane karabiny maszynowe MG-42.

Za łodziami wyłaniała się z dymu ciemna masa wyspy. Wbrew swej nazwie Wyspa Katedralna nie była już właściwie wyspą, bo z biegiem lat nurt rzeki naniósł tyle piachu, że już w dziewiętnastym wieku połączyła się z przeciwnym brzegiem. Z ich brzegu na wyspę prowadził pochodzący z tego samego okresu szmaragdowozielony żelazny most i to właśnie pod nim skryły się napływające szybko kanonierki.

Uwagę Jakoba przyciągnął na chwilę refleks wschodzącego słońca na dwóch potężnych wieżach katedry, której wyspa zawdzięczała nazwę. Oprócz niej stało tam jeszcze pięć innych kościołów.

W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Toli Hirszfeld:

„To jak wyrzeczenie się Boga i natury”.

Poranny chłód przenikał na wskroś jego przemoczone ubranie i powodował, że po skórze przebiegały mu zimne dreszcze. Cieszyło go, że już niedługo się stąd wydostanie i że będzie mógł zapomnieć o wszystkim, co się tu działo.

Pierwsza z łodzi przybiła do brzegu, co kazało mu odsunąć od siebie myśli o przeszłości i zająć się teraźniejszością. Wydał rozkaz, by załadowano skrzynie na łodzie.

Tola z dzieckiem na rękach stała z boku pilnowana przez jednego z żołnierzy. Ona też patrzyła na lśniące w zadymionym powietrzu wieże, jednocześnie wsłuchując się w coraz bliższe odgłosy walki. Dawało się już rozróżnić chrzęst gąsienic sunących ku nim czołgów. Wszystkiemu towarzyszyły okrzyki i wrzaski.

Gdzież jest teraz Bóg, którego wyrzeczenia się obawiała?

Bo na pewno nie tu.

Po skończonym załadunku Jakob podszedł do Toli.

– Wsiadaj – rozkazał. Chciał to powiedzieć tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale coś emanującego z jej twarzy złagodziło jego głos.

Bez słowa wykonała polecenie. Nie odrywała wzroku od wież, ale jej myśli szybowały jeszcze wyżej.

Jakob po raz pierwszy stwierdził, że jest piękna... chociaż

Mischling. Chwilę potem zahaczyła o coś obcasem, zachwiała się i z trudem uniknęła upadku. Mimo to nie upuściła dziecka. Wróciła myślami do otaczającej ją zadymionej szarości, jej twarz spochmurniała i stężała. Gdy zaczęła szukać wzrokiem miejsca dla siebie i dziecka, jej spojrzenie znów było kamiennie twarde.

Wybrała ławkę przy prawej burcie, a pilnujący ją żołnierz stanął obok.

Jakob usiadł przy przeciwległej burcie i dał znak szyprowi, że może odbijać.

– Nie wolno nam się spóźnić – mruknął, wbijając wzrok w wody rzeki. Ruszyli na zachód, odwracając się tyłem do zbliżającego się frontu i wschodzącego słońca.

Jakob spojrział na zegarek. Zgodnie z planem ich transportowy junker Ju 52 powinien już czekać na starym, zrujnowanym lotnisku dziesięć kilometrów od miasta. Samolot miał mieć znaki Niemieckiego Czerwonego Krzyża i udawać jednostkę transportu medycznego, co było dodatkowym zabezpieczeniem przed atakiem.

Łodzie wypłynęły na głębszą wodę, silniki zawyły na wyższych obrotach. Rosjanie już ich nie zatrzymają. Udało się.

Nagle wzrok Jakoba przyciągnął nieoczekiwany ruch koło przeciwległej burty.

Tola pochyliła się nad dzieckiem i delikatnie ucałowała jego pokrytą miękkim puszkim główkę. Potem uniosła głowę i spojrzała Jakobowi w oczy. W jej wzroku nie dostrzegł ani uległości, ani agresji. Tylko determinację.

W mgnieniu oka pojął, co zamierza zrobić.

– Nie!

Ale było już za późno.

Tola zerwała się z miejsca, przechyliła do tyłu przez niski reling, zrobiła zamach nogami i trzymając dziecko przy piersi, rzuciła się w zimne wody Odry.

Pilnujący jej żołnierz osłupiał, po czym skoczył do burty i zaczął na oślep strzelać w wodę.

Jakob jednym susem dopadł go i podbił rękę trzymającą pistolet.

– Możesz trafić dziecko! – wrzasnął.

Przechylił się przez reling i zaczął wpatrywać w nurt rzeki.

Wszyscy rzucili się do burty i łódź zakołysała się niebezpiecznie. Na ołowianej powierzchni wody widać było tylko odbicie ich głów. Jakob wrzasnął na pilota, by popłynął w koło.

Nurt rzeki był pusty.

Rozglądał się za pęcherzykami powietrza, ale wiry po śrubie obładowanej łodzi burzyły ołowianą toń i wszystko zamazywały. W bezsilnej złości uderzył pięścią w reling.

Jaki tatuś... taka córeczka...

Tylko *Mischling* może wymyślić coś tak drastycznego. Był już świadkiem podobnych zdarzeń, kiedy żydowskie matki odbierały życie własnym dzieciom po to, by je uchronić przed większymi cierpieniami. Myślał, że Tola jest silniejsza, bardziej uodporniona. Musiała jednak uznać, że nie ma innego wyjścia.

Krążyli na tyle długo, by pozbyć się wszelkich wątpliwości. Potem jego ludzie przeszukali jeszcze oba brzegi, bez skutku. Tola zniknęła. Gwizd przelatującego nad głowami pocisku z moździerza zniechęcił ich do dalszych poszukiwań.

Gestem ręki Jakob przywołał swoich ludzi, potem machnął ku zachodowi, gdzie czekał na nich samolot. Przynajmniej zostały im skrzynie z urządzeniami i dokumentacją. Zniknięcie Toli stanowiło nieoczekiwaną komplikację, ale nie było czymś, z czym nie można sobie poradzić.

– W drogę! – rozkazał.

Łodzie skrzyły na zachód i stopniowo zaczęły nabierać szybkości.

W ciągu paru minut rozplynęły się w dymach pożarów trawiących Breslau.

Tola wsłuchiwała się w oddalający się warkot silników.

Tkwiła zanurzona w wodzie, kryjąc się za jednym z potężnych kamiennych filarów, na których wspierała się żelazna konstrukcja starego Mostu Katedralnego. Jedną dłonią zatykała buzię niemowlęciu. Modliła się w duchu, by umiało zaczerpnąć dość powietrza przez nos. Widać było, że dziecko ledwo dyszy.

Podobnie jak ona.

Jeden z pocisków trafił ją w szyję i rana obficie krwawiła, zabarwiając na czerwono otaczającą ją wodę. Czuła, jak stopniowo mąci jej się wzrok, wciąż jednak walczyła, by utrzymać główkę niemowlęcia nad powierzchnią wody.

Najpierw miała zamiar po prostu utopić siebie i dziecko, poczuwszy jednak przenikliwe zimno i szarpiący ból w szyi, stwierdziła, że jej determinacja słabnie i zmienia się w wolę walki. W pamięci został jej błysk rozświetlający katedralne wieże. To, co wtedy poczuła, nie miało nic wspólnego z jej wiarą czy pochodzeniem, uświadomiło jej natomiast, że nad otaczającym człowieka mrokiem jest światło. I że są takie miejsca, gdzie brat nie walczy z bratem, a matki nie zabijają swoich dzieci.

Pracując nogami, wypłynęła na środek i pozwoliła się nieść prądowi w stronę mostu. Nabierała powietrza i zanurzając się pod wodę, wtłaczała je w usta dziecku, ściskając mu jednocześnie nos. Wprawdzie w chwili skoku miała zamiar zakończyć swoje i jego życie, to od chwili, gdy podjęła walkę, owaładnęło ją bez reszty pragnienie uratowania ich obojga.

Chłopiec nie miał nawet imienia.

A nikt nie powinien umierać bezimiennie.

Wtłaczała mu szybkie, małe hausty powietrza, jednocześnie walcząc z nurtem. Szczęśliwym trafem prąd zniósł ją wprost na jeden z filarów i udało jej się znaleźć za nim kryjówkę.

Ale teraz, gdy łodzie już odpłynęły, siły zupełnie ją opuściły i nie była już w stanie wytrzymać ani chwili dłużej.

Czując, jak uchodzi z niej krew, podejrzewała, że tylko przenikliwe zimno utrzymuje ją przy życiu. Jednak to samo zimno powoli pozbawiało życia kruche niemowlę.

Zaczęła z całych sił machać nogami, kierując się ku brzegowi. Była tak osłabiona i zdrętwiała z zimna, że jej ruchy były bezładne i nieskoordynowane. W pewnej chwili zaczęła się zanurzać, pociągając z sobą dziecko.

Nie!

Z najwyższym wysiłkiem wynurzyła głowę, czując, że woda robi się coraz cięższa i trudniejsza do pokonania.

Wciąż się jednak nie poddawała.

A potem pod stopami poczuła śliskie kamienne dno. Wydała okrzyk radości, zapominając, że wciąż jest jeszcze pod wodą, i zakrztusiła się. Raz jeszcze poszła na dno i ostatnim wysiłkiem odbiła się nogami od kamieni. Wynurzyła głowę i szarpnęła ciało ku brzegowi.

Stopy natrafiły na stromy brzeg rzeki.

Opierając się na jednej ręce i kolanie i przyciskając dziecko do szyi, zaczęła gramolić się z wody. Wydostała się na brzeg i runęła twarzą na warstwę kamieni. Nie miała siły się ruszyć. Ostatnim wysiłkiem woli zmusiła się do spojrzenia na ubrudzone jej własną krwią dziecko.

Nie ruszało się i nie oddychało.

Zamknęła oczy, czując, jak z wolna zapada się w przepastną czerń.

Zacznij płakać, cholera, płacz...

Płacz dziecka pierwszy usłyszał ojciec Varick.

Wraz z resztą braci zakonnych tkwił w piwnicach na wino w podziemiach kościoła Świętych Piotra i Pawła. Gdy ostatniej nocy rozpoczęło się bombardowanie Breslau, schronili się tam, by na klęczkach modlić się o uratowanie ich wyspy. Pochodzący z XV wieku kościół przetrwał w nienaruszonym stanie różne nawałnice i zmienne koleje losu, jakie na przestrzeni wieków nękały miasto na obu brzegach rzeki. Teraz znów przyszło im prosić opatrzność o opiekę nad ich świątynią.

Właśnie dzięki pobożnemu skupieniu do uszu zakonników dotarło ciche popiskiwanie.

Ojciec Varick bez słowa wstał z klęczek, co dla jego starych kości było nie lada wyczynem.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Franz.

– Wzywa mnie moja trzódka – odrzekł zakonnik. Od dwudziestu lat wynosił nad rzekę resztki jedzenia dla dzikich kotów i bezdomnych kundli, które zbierały się u stóp kościoła.

– Nie czas na to – wtrącił inny z braci wystraszone głosem.

Ale ojciec Varick przeżył zbyt wiele lat, by tak po młodzieńczemu

obawiać się śmierci. Przeszedł przez piwnicę i pochylił głowę w wejściu do niskiego korytarzyka prowadzącego do tylnej bramki od strony rzeki. Kiedyś zaopatrywano tędy kościół w węgiel, który składowano w piwnicy, obecnie pełnej omszałych zielonych butelek na dębowych regałach.

Dotarł do węglowej bramki, uniósł sztabę i odsunął zasuwę.

Potem pchnął ją ramieniem, a bramka głośno skrzypnęła.

Najpierw poczuł gryzącą woń dymu, a zaraz potem usłyszał cichy płacz i spojrzał na ziemię.

– *Mein Gott im Himmel...*

Parę kroków od bramki na kamiennej podmurówce leżała nieruchoma postać kobieca. Zakonnik padł na kolana, szepcząc słowa modlitwy.

Pomacał szyję kobiety w poszukiwaniu oznak życia, ale natrafił tylko na ranę pokrytą zakrzepłą krwią. Kobieta była skąpana we krwi i zimna.

Bez wątpienia nie żyła.

A potem nagle znów rozległo się kwilenie.

Uniósł ciało kobiety i ujrzał pod nim niemowlę, jak ona całe zalane krwią.

Było sine z zimna, ale wciąż jeszcze żywe. Wyciągnął je spod ciała kobiety i ciężki od wody becik zsunął się z jego ciała.

Chłopiec.

Szybko przejechał dłonią po skórze dziecka, upewniając się, że krew nie jest jego.

To była krew matki.

Ze smutkiem spojrzał na kobietę. Tyle śmierci wokół. Popatrzył przez rzekę na drugi brzeg. Miasto płonęło, a poranne niebo zasnuwały kłęby czarnego dymu. Słyszał było strzelaninę. Czyżby ta kobieta przytęnęła tu przez kanał? Żeby ratować dziecko?

– Odpoczywaj w pokoju – szepnął. – Zasłużyłaś na to.

Wytańł dziecko z krwi i osuszył. Jego rzadkie jedwabiste włosy były śnieżnobiałe. Nie mogło mieć więcej niż miesiąc.

Zabiegi ojca Varicka spowodowały, że płacz dziecka przybrał na sile, a jego twarzączka nabrała koloru, było jednak bardzo osłabione i przemarznięte.

– Płacz, maleńki.

Jakby reagując na jego głos, chłopczyk uniósł opuchnięte powieki i spojrzał na Varicka błękitnymi oczami, błyszczącymi i czystymi. Wprawdzie większość noworodków ma oczy błękitne, ale zakonnik czuł, że te zachowają ten niebiański błękit na zawsze.

Przytulił dziecko, chcąc je trochę ogrzać, i zobaczył coś na jego nóżce. *Was ist das?* Przyjrzał się maleńkiej stópce. Na piętce ktoś narysował znak.

Nie, nie narysował. Dla pewności lekko potarł piętę.

Wytatuował szkarłatnym tuszem.

Varick wpatrzył się w znamię. Kształtem przypominało ślad kurzej łapki.



Lata młodości ojciec Varick spędził w Finlandii, więc bez trudu rozpoznał, że to jeden z nordyckich symboli runicznych, choć nie znał ani jego nazwy, ani znaczenia. Ze zdumieniem pokręcił głową. Komu mógł przyjść do głowy tak dziwaczny pomysł?

Spojrzał na matkę i ściągnął brwi.

Nieważne. Grzechy rodziców nie obciążają dzieci.

Otarł główkę dziecka z resztek krwi i okrył je swoim ciepłym habitem.

– Biedny *Junge*... Cóż za okropne powitanie zgotował ci ten świat.

DACH ŚWIATA

Baza pod Everestem, Himalaje

16 maja, godzina 6.43 czasu miejscowego

– Ten wiatr niesie z sobą śmierć.

Taski, przywódca Szerpów, wygłosił tę opinię z powagą i pewnością siebie, do jakiej upoważniał go wykonywany zawód przewodnika. Był przysadzisty i miał niecały metr pięćdziesiąt wzrostu, wliczając w to zniszczony kowbojski kapelusz, roztaczał jednak wokół siebie taką aurę ważności, jakby przerastał o głowę wszystkich uczestników wyprawy. Jego skośne oczy wbite były w trzepocące na wietrze chorągiewki modlitewne.

Doktor Lisa Cummings skierowała na niego wizjer swego nikona D-100 i zrobiła zdjęcie. Taski był nie tylko przewodnikiem całej ekipy, ale także przedmiotem prowadzonych przez nią badań psychometrycznych. Idealnym obiektem dla jej testów.

Przyjechała do Nepalu w ramach stypendium przyznanego jej na badanie zjawisk fizjologicznych, jakie towarzyszą wspinaczce na Everest bez użycia tlenu. Do roku 1978 nikomu nie udało się wspiąć na szczyt bez tlenu. Na tych wysokościach powietrze jest bardzo rozrzedzone i nawet doświadczeni himalaiści wyposażeni w butle z tlenem doświadczają uczucia skrajnego wyczerpania, mają trudności z koordynacją ruchową, podwójnie widzą i mają halucynacje. Panowała wówczas opinia, że mierzący ponad osiem tysięcy osiemset metrów szczyt bez tlenu jest nie do zdobycia.

A potem nadszedł rok 1978 i dwaj wspinacze z Tyrolu dokonali niemożliwego i wspięli się na szczyt, posługując się wyłącznie własnymi zmęczonymi płucami. W ciągu następnych lat w ich ślady poszło około sześćdziesięcioro himalaistów obojga płci, ustanawiając dla wspinaczkowej elity nowe standardy.

Lisa nie potrafiła wyobrazić sobie lepszej okazji do badań wysiłkowych w warunkach obniżonego ciśnienia atmosferycznego.

Niedługo przed wyjazdem do Nepalu zakończyła pięcioletni program badań nad wpływem podwyższonego ciśnienia na procesy fizjologiczne człowieka. W ramach programu znaczną część czasu spędziła na pokładzie statku naukowego *Deep Fathom*, zajmując się badaniem zjawisk zachodzących w organizmach nurków głębinowych. Po zakończeniu programu musiała coś ze sobą zrobić, i to zarówno w sprawach zawodowych, jak osobistych, i to skłoniło ją do przyjęcia niezbyt szczodrego stypendium na przeprowadzenie badań odwrotnych: nad fizjologicznymi efektami przebywania w warunkach niskiego ciśnienia.

Konsekwencją tej decyzji stała się jej podróż na Dach Świata.

Ustawiła kolejny kadr z Szerpą z plemienia Taski w centrum. Podobnie jak większość jego ziomków Taski używał nazwy swej grupy etnicznej jako nazwiska.

Mężczyzna oddalił się od trzepocących na wietrze chorągiewek, zdecydowanym ruchem kiwnął głową i papierosem wetkniętym między palce wskazał na górujący nad nimi masyw.

– Niedobry dzień. Ten wiatr niesie śmierć – powtórzył.

Potem włożył papierosa do ust i odwrócił się. Dla niego temat został wyczerpany.

Czego nie można było powiedzieć o pozostałych członkach wyprawy.

Wśród wspinaczy rozległy się szmery niezadowolenia. Wszyscy siedzieli z zadartymi głowami, wpatrując się w bezchmurne błękitne niebo. Dziesięcioosobowa ekipa od dziewięciu dni czekała beczynnie na otwarcie się okienka pogodowego. Tyle że wcześniej nikt nie protestował przeciw oczywistej decyzji przeczekania szalejącej od tygodnia burzy, którą wywołał potężny cyklon znad Zatoki Bengalskiej. Wichury osiągające szybkość stu sześćdziesięciu

kilometrów na godzinę atakowały obóz, przewracały ludzi i szarpały namiotami tak, że porwany został jeden z namiotów gospodarczych. Zaczynały przy tym igiełkami złodowaczego śniegu, które na gołą skórę działały jak papier ścierny.

I wreszcie wstał słoneczny ranek, piękny jak ich marzenia o zdobyciu szczytu. Promienie słońca lśniły na lodowcu Khumbu i opadających z niego jezorach lodu. Nad wszystkim górował pokryty śniegiem Everest, stojąc w otoczeniu swych dostojnych sióstr i przypominając orszak weselny w bieli.

Lisa zrobiła już około setki zdjęć, starając się uchwycić zmieniające się światło w całej jego krasie. Teraz już rozumiała, dlaczego Chińczycy nazywali Everest Czomolungma, czyli Boska Matka Świata. Nepalczycy mówili na niego Sagarmatha – Bogini Nieba.

Spowita chmurami góra istotnie była jak bogini lodu i skał, do której zjeżdżali się wspinacze, by oddać hołd i udowodnić, że zasługują na ucałowanie nieba z jej szczytu. A nie było to ani łatwe, ani tanie. Sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów od każdego uczestnika wyprawy. W tej cenie mieścił się już jednak cały potrzebny ekwipunek, tragarze, Szerpowie i oczywiście tyle jaków, ile dusza zapagnie. Ryk jednego z dwudziestu czterech zwierząt potoczył się właśnie po dolinie i powrócił echem odbitym od ścian. Bąble namiotów w czerwono-niebieskie pasy ubarwiały obozowisko – jedno z sześciu rozłożonych w tej dolinie w nadziei, że bogowie burz znajdą sobie wreszcie inne zajęcie.

A teraz okazało się, że zdaniem ich Szerpy ten dzień jeszcze nie nadszedł.

– To jeden wielki przekręt – prychnął szef bostońskiej firmy produkującej sprzęt sportowy. Ubrany w ostatni krzyk himalajskiej mody, puchowy kombinezon, stał obok swego spakowanego plecaka. – Ponad sześćset dolców dziennie za bezczynne siedzenie na tyłku. Oni nas tu specjalnie przetrzymują. Na zasranym niebie nie ma ani jednej chmurki!

Powiedział to półgłosem, jakby chciał podpuścić innych, samemu zbyttnio się nie wychylając.

Lisa знаła ten typ. Osobowość typu P. P jak palant. Myśląc o